

ANNA DYMNA: „LUBIĘ GRAĆ SPRAWIA MI TO RADOŚĆ”...

Anna Dymna, aktorka Starego Teatru im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie, znana też z filmu i telewizji, adresatka tysięcy listów, wśród nich zawierających również dane o stanie konta nadawcy, autorka pracy magisterskiej w krakowskiej PWST poświęconej teatrowi Tadeusza Kantora. Dla wielu — ideał urody i wdzięku. Grała Marysienkę Sobieską i Barbarę Radziwiłłównę. W okresie świąt oglądali ją widzowie telewizyjnego teatru dla dzieci w „Opowieści o królu Wysp Hebanowych” wg Bolesława Leśmiana. Niedawno grała rolę Lavinii w sztuce „Żaloba przyszłej Elektry”.

— Czy chciała pani wykonywać kiedyś inny zawód?

— Tak, chciałam zdawać...

— Na psychologię? Wiem, wiem! przypadkiem została pani aktorką.

— Po ukończeniu PWST chciałam zdawać do Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych...

— No, i co?

— Nic. Maluję sobie takie tam potwory. Maluję tuszem i patykami, flamastrami, czasem robię akwarele. Zawsze zaczynam rysunek od oczu. Maluję dla siebie, choć mam zwyczaj rysować czy malować — jak kto woli — na egzemplarzach ról, zwłaszcza podczas prób stolikowych. I kiedyś tak właśnie rysowałam podczas próby „Queen Mary” Charlesa Dyera w reżyserii Jerzego Binczyckiego. Potem wydrukował on w programie ten mój rysunek. I jeszcze rysunek Tadeusza Huka.

— A czy pani wie, że jest pani uważana za symbol seksu?

— Wiem. Powiedział mi o tym pewien nastolatek podczas spotkania z widzami.

— Była pani zaskoczona?

— Nie byłam i nie jestem zaskoczona, w polskim filmie wystarczy wystąpić w erotycznej scenie, obnażyć się, żeby zostać

okrzykniętą symbolem seksu. Grałam w takich scenach...

— I nie przeszkadza to pani?

— Co — mianowicie?

— No, ten symbol, to piętno...

— Tak serio, to w filmie przeszkadza mi to, że w 90 proc. przypadków na planie nie ma po prostu nastroju do pracy, że panuje bałagan, wręcz chaos, że aktor nie ma praktycznie warunków na tak potrzebne chwile skupienia. Przeszkadza mi jeszcze konieczność pokonywania odległości. Myślę o tych ciągłych podróżach do

Warszawy, Wrocławia, Łodzi, Zakopanego i gdzieś tam, gdzie kręci się film. Przeszkadza mi jeszcze czekanie... na wszystko: na deszcz, na słońce, na wiatr, na rekwizyt, którego zapomniano zabrać na plan. Wiadysław Hańcza powiedział mi kiedyś, że kiedy nauczę się czekać, zostanie aktorką filmową. On sam zresztą cudownie wypełniał sobie to czekanie dżemką na leżaku... Ale lubię grać, sprawia mi to radość.

— A reżyser? Pomaga pani?

— Kiedy mi zaufa, powierzając rolę i kiedy wierzy, że zagram ją dobrze, to tak, ale nie mogłabym grać, gdyby mówił do mnie „beznadziejnie, pani nic nie łapie, beznadziejnie, proszę pani, proszę niech pani próbuje dalej...”.

— Zawsze udawało się pani tak właśnie pracować, a potem w konsekwencji tak właśnie grać? Pamiętam i inne recenzje...

— Właśnie... recenzje! Wie pan, kiedyś pochwalono moją grę — „Wspaniała kreacja aktorska” w sztuce, w której nie grałam, a kiedyś ktoś inny — napisał: „Wyglądała pięknie i wdzięcznie chodziła po scenie”. Pamiętam, czytałam niektóre recenzje. Pisali wspaniali panowie, że „Cricot-2” to teatr dla wariatów. No i co pan na to?

— Pani jest gwiazdą telewizyjną!

— Lubię grać w telewizji, bo gra się tam trochę tak jak w teatrze, bo na telewizyjnym planie panuje cisza, spokój i gra się dla największej widowni.

— Pani gra dla widzów?

— Oczywiście! Gram dla siebie i dla widowni.

